

Klimakterium, czyli jak się poderwać

kończy się okres
chowania się
pod stołem
kręcenia wokół
własnej osi
czas wyrzucić
tampon
kneblujący usta
spalić podpaski
w które wsiąkła
krew przelana
z pustego w próżne
zapuścić sobie wąsy
lub zedrzyć je
ze skóry
rzucić urok
trzy razy splunąć
przeżegnać się
przekląć ostro
i w końcu wyjść
na prostą

W języku polskim jest takie brzydkie słowo: okres przekwitania. Dotknięte tym zjawiskiem są tylko kobiety, gdyż mężczyźni nie przekwitają. Tyle że ja też nie mam zamiaru przekwitać. Tym bardziej że jak do tej pory nie zakwitłam jeszcze. Jak tu przekwitnąć, nie zakwitnąwszy wcześniej? Jak tu umrzeć, jeśli wcześniej się nie żyło? Wiele z nas nie kwitnie bardzo długo. Bo się boimy pokazać w całej naszej okazałości, w sukni z księżycowego pyłu, ze słonecznych promieni, ze złotą koroną na głowie, w płaszczu z gwiazdzistych zamieci. Wolimy się gdzieś chować po kątach i psioczyć na niesprawiedliwy los. Nie chcemy wyjść na środek sali i zatańczyć tango. Nie chcemy ryzyka. Może kiedyś nieostrożnie pokazałyśmy się gdzieś nago, jak dziewczyna z baśni o foczej skórce, tańczyłyśmy bezbronne w blasku księżycy, i ktoś nas bardzo skrzywdził. I potem przez dziesięciolecia nosiłyśmy na sobie skorupę, bałyśmy się spod niej wyjść. Komornicka założyła spodnie, zbroję rycerza, habit mnicha. Do końca życia nie mogła tego z siebie zdjąć.

Brigitta Helbig-Mischewski: Klimakterium, czyli jak się poderwać
in: Pogranicza Nr. 2 (91)2011, s. 29-32
© Brigitta Helbig-Mischewski / www.helbig-mischewski.eu

Po niemiecku nie mówimy okres przekwitania, mówimy Wechseljahre, wiek przemiany. Wchodzę w wiek wielkiej przemiany, mam okazję narodzić się na nowo, po raz pierwszy rozwinąć skrzydła, bo już nic nie mam do stracenia, a wygrać mogę wiele. Chcę poodkręcać albo ponakręcać różne sprawy, zastąpić kłamstwo prawdą, zedrzyć zastygłe maski, sprostować powiedziane kiedyś tak, odsłonić wewnętrzne nie. I na odwrót. Chcę być w końcu sobą, mówić, co chcę, i robić, co chcę. Chcę zostać wolnym człowiekiem. No ale chwila moment, los daje mi akurat pole do popisu. Siedzę w pociągu linii Szczecin–Berlin i jakiś pijany starszy facet mi dokucza, zaczepia, zionie alkoholem, bredzi banialuki. Faceci, z którymi miałam jechać na bilet brandenburski, wskazali mi tego dziada, tłumacząc, że to biedny niewidomy, który weźmie mnie za darmo na swój bilet. No dobra. Pociąg jest przepełniony, przed weekendem majowym młodzież wali na party do Berlina. Niewidomy z daleka woła do mnie mile zaskoczony: „O, jaka pani ładna!” A potem prostuje przestraszony: „No ja tam nie wiem, ładna czy nie ładna, bo nic nie widzę”. Okazuje się, że facet widzi wszystko, komentuje każdą moją czynność. Głowa mi pęka, słucham go o wiele za długo, próbuję ze wszystkich sił bronić nienaruszalności swoich granic, wyciągam komputer, zaczynam walić demonstracyjnie ten tekst, podkreślam, że mam robotę, teraz siedzi obrażony. Boże, czy tylko dlatego, że bierze mnie na swój bilet, musi mnie od razu gwałcić? Czy tylko dlatego, że byłam wychowywana na grzeczną dziewczynkę muszę *dać się gwałcić*? „A kim pani jest?” Pyta. Niepotrzebnie napomykam coś o uniwersytecie, facet to wykorzysta. „No a konkretnie? Psychologiem?” Nie wiem, co powiedzieć, żeby się odczepił, cedzę więc najbardziej nudnym tonem, na jaki mnie stać: „Literaturoznawcą”. To zazwyczaj działa. „To co, ja mam o biblii z tobą rozmawiać?”, pyta skonsternowany. „Jakżebym chciał mieć kogoś inteligentnego, kto by się mną zaopiekował”, zmienia temat. „Wszystko bym mu dał, wszystko, czego chcę. Ha ha ha, pani profesor. Podobasz mi się. Czy tam pani doktor. Jesteś ty profesor czy nie?”

Bezwładnie wrzuszam ramionami. Takich okazji do flirtu mam dużo. Sporo takich amantów daje mi do zrozumienia, że jestem dla nich jeszcze okay, że biorą mnie pod uwagę mimo ewidentnego przekwitania i pofarbowanych włosów, których oni sami, rzecz jasna, ze swej strony farbować nie muszą. Staszek, bo tak się przedstawił ten koleś, jest nieco poirytowany. A ja obserwuję siebie. Na ile udało mi się już przemienić w silną, dojrzałą kobietę, która nie da sobie w kaszę dmuchać, nie będzie robić dobrej miny do złej gry, co do tej pory było główną treścią jej życia. Facet najwyraźniej testuje moje granice. Chce wiedzieć, jak daleko może się posunąć. Wyciąga kolejne piwo: „Pani profesor, twoje zdrowie, żebyś nie myślała. I nie bój się. Nie chcesz ze mną gadać, bo za głupi jestem, tak? A ja i tak ciebie lubię. Wiem, że jesteś piękna, chociaż ciebie nie widzę”. Chleje. Boże, czy ja już muszę się cieszyć z takiego podrywu, podczas gdy moi koledzy zdobywają serca dwudziestolatek? Czy widział kto kiedy starą pijaną babę gwałcającą w ten sposób współpasażera?

„Ale jak masz na imię?”, pyta. Nieważne, kurde, nieważne. Nie daję sobie wydrzeć przynajmniej swojego imienia, to już duże zwycięstwo. No więc jak się dzieje, że oni biorą

sobie te młode dziewczyny. Nie wszyscy panowie w klimakterium tak robią, niektórzy eksperymentują w innych dziedzinach, aby poczuć przed śmiercią smak życia, przed którym uciekali całe życie. Szybki motor, odjazdowe auto, zabebiste gadżety, jogging lub sporty ekstremalne, nie wiem, nie znam się na tym. Inni wolą się zaprząć w budowę domu, działkę, hodowlę ziół, nowy rzut dzieci. Jeszcze inni naprawdę udają się na poszukiwanie siebie, swego powołania i prawdziwej bliskości. Wielu jednak boleśnie przyciągają ciała kobiet, zwłaszcza młode ciała. A im mniej w nich zdolności do bliskości w stałym związku, im mniej umiejętności kochania, tym te ciała przyciągają ich bardziej. Kobiety jako laski, dupy, w najlepszym wypadku źródła, z których tryska dobroć; niewinność, miłość, naiwność, strumień życia, z którego oni pragną coś wychłptać, bo w nich ten strumień dawno już wysechł, a może nigdy go nie było. Stąd stereotyp staroego lubieżnika, świetnie sportretowany w *Białym małżeństwie* Różewicza. Dlaczego te młode dziewczyny tak na tych podstarzałych panów lecą? Co im się w tych napalonych, obleśnych dziadach podoba? Sorry, jestem drastyczna i niesprawiedliwa, bo nie zawsze tak to wygląda, bywa, że dziad nie jest napalony, wstrętny ani obleśny, bywa, że nawet nie jest żadnym dziadem, tymczasem muszę jednak dać upust agresji. Te dziewczyny szukają mistrza, tak jak ja go kiedyś szukałam. Szukają kogoś, kto je poprowadzi, wskaże im drogę, dostrzeże ich potencjał. Uwiedzenie w tej sytuacji jest nietrudne. Coś takiego zdarzyło się bohaterce *Halszki* młodej Komornickiej. Halszka uciekła z domu ze starym, małym i łysym wujem, prawie karłem, który dostrzegł w niej coś więcej niż nieokrzesaną pannę na wydaniu, jaką widzieli w niej rodzice. Zobaczył ją nagle w olśniewającej aureoli ze słonecznych promieni, gdy huśtała się na wielkiej huśtawie, ryzykując życie, a jej warkocze z impetem biły o wiatr. Ujrzał to, kim ona może się stać, kim jest *naprawdę*. Stał się dla niej obietnicą rozwoju i wolności. Uciekła więc z nim do Berlina, ryzykując zniesławienie i śmierć. Mnie także kiedyś „zobaczył” mój profesor. Na szczęście tego nie wykorzystał. Poprzestał na tym, żeby dać mi przyjaźń, uznanie, impuls do rozwoju. Poprzestał na mojej wdzięczności i podziwie. Często jednak ci panowie oferują dziewczynom tylko cały pakiet: wsparcie w rozwoju plus miłość, związek lub przynajmniej seks. Jeśli obie strony tego pragną, i wiedzą, co robią, jest w porządku. Trochę gorzej, jeśli dzieje się to za cenę porzucenia lub naruszenia długoletniego związku, zdrady partnerki w pięknym wieku przemiany. Trochę szkoda, że tak często idziemy w ilość, a nie w jakość, w zewnętrzną, a nie wewnętrzną zmianę. Trochę smutno, że tak rzadko ten schemat działa także w drugą stronę, z odwrotną obsadą płci.

A co robią kobiety w klimakterium? Zapisują się na jogę, zaczynają się interesować kuchnią chińską, ziołami, chodzą do kościoła, na psychoterapię albo uprawiać medytację, ewentualnie działkę, zależy od środowiska, stopnia majątności i tak dalej. Możemy się z tego podśmiechiwać i panowie podśmiechują się z tego chętnie, ale tendencja jest jednak wcale nie taka śmieszna. Kobiety jakby bardziej kierują się do wewnątrz, mężczyźni na ogół na zewnątrz. Na zewnątrz szukają czegoś, czego lepiej byłoby dopracować się w sobie. Kobiety kierują się bardziej ku światu duchowemu (choć lubią też wellness i spa), mężczyźni ku materialnemu. Oczywiście to nie reguła. „Wiesz co, wiesz,

czego ja pragnę?”, wtrąca mi się Staszek. „Nic innego oprócz miłości. Tysiąc spraw może być, ale to nie one są najważniejsza jest miłość. Tausend interesów. Wiesz, że ja po niemiecku umię gadać? Wiesz co, mam propozycję, a gdybyśmy się tak spotkali kiedyś, co sądzisz? Pamiętaj tą podróż, chciałbym, żebyś była szczęśliwa i żebyś zrozumiała mnie w pewnym sensie, bo nigdy całkowitego zrozumienia między ludźmi nie ma. Dumny jestem z tego, kim jestem, i chciałbym żebyś wiedziała, z czego jestem dumny. Dumny jestem i przez Niemcy, że tam mieszkam, i przez Polskę, że stamtąd pochodzę, i przez matkę, że taka dobra, i przez brata, że jest rzeźbiarzem. Ale nie przez siebie samego jestem dumny, bo ja jestem głupi gówniarz, kapujesz?” Tak, to najwyraźniej jeden z tych frustratów, którzy chcieli osiągnąć w życiu wiele, ale im się nie udało i głód nieprzeżytego życia na stare lata ich trawi. Nie znoszę go i współczuję mu jednocześnie. Drażni i obraża go moje uparte milczenie: „A tam, daj mi święty spokój”, mówi. „No wypilem kilka piwek, chcesz ze mną pogadać, to pogadaj, pani magister. Czy mogę ci zadać jedno pytanie, ostatnie pytanie?” „Nie, nie, już nie”, odpowiadam.

Już mam wszystkiego dosyć. Pakuję się, zatrzaszukuję laptop, zbieram torby, kable, książki, i krótko przed przesiadką w Angermünde brnę, potykając się, przez wąskie, zabarykadowane przejście między siedzeniami szukać innego miejsca. W końcu więc, w ostatniej chwili, żeby nie skompromitować się sama przed sobą, decyduję się zadać ból temu, kto cały czas zadawał mi ból, nie współczuć już dłużej temu, kto nie miał dla mnie żadnej litości. „A wiesz, jakie to miało być pytanie?”, woła za mną na cały pociąg. „Czy mogę cię poderwać!”

Na szczęście poderwałam się sama.